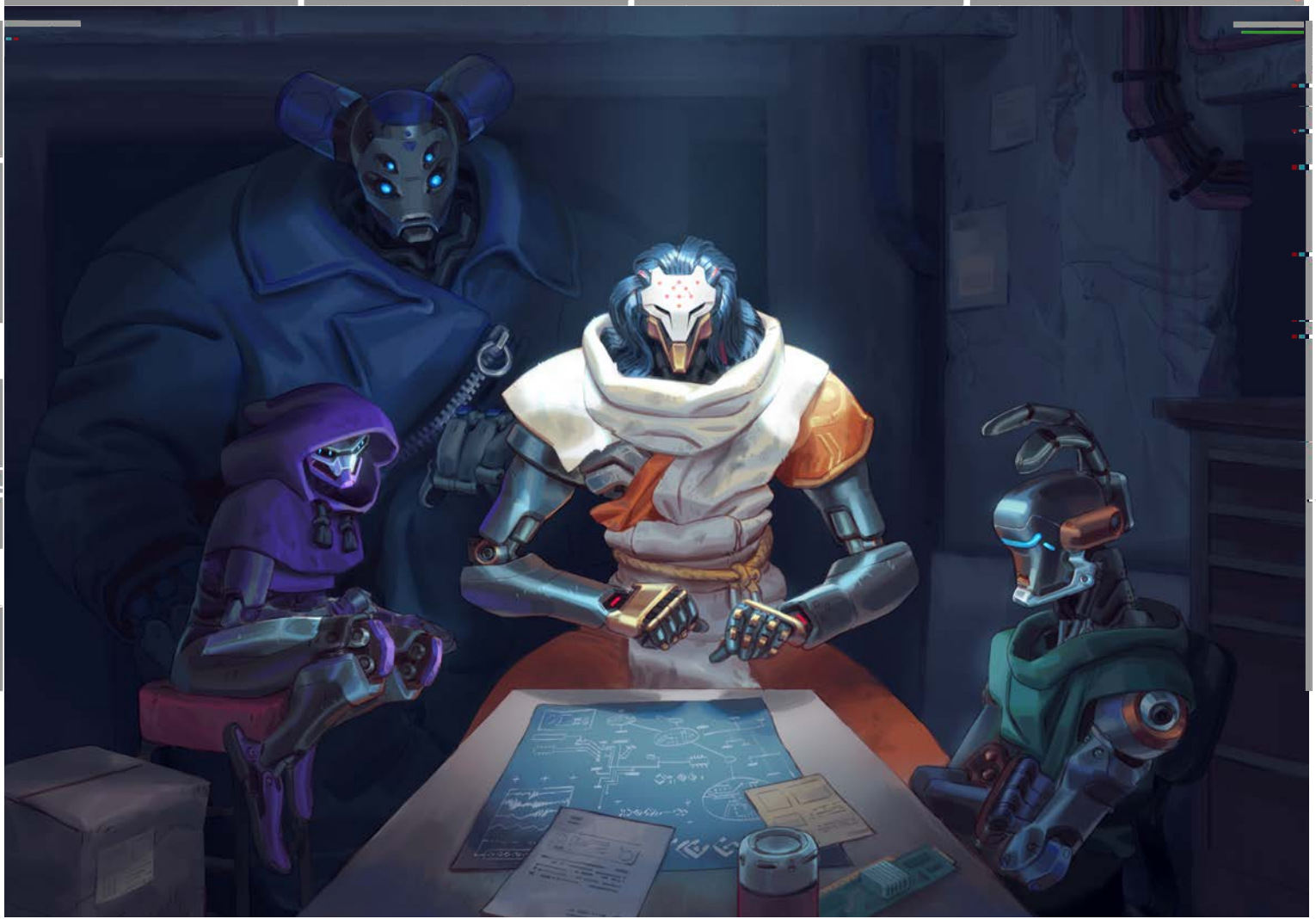




RÓŻNICE ŚWIATOPOGLĄDOWE

4 LATA PRZED INSUREKCJĄ

– Jesteś model *rezun*, prawda? – zawołał człowiek za mną. Zamarłem, a ręce zadrżały mi pod szatami.

Wioska pod klasztorem Szambala prawie nie zmieniła się od mojej ostatniej wizyty. Wzdłuż głównej drogi stało kilka kolorowych zakładów naprawczych i krawieckich, specjalizujących się w szatach dla omnickich podróżników. W alejkach i zaułkach straszyły zamknięte sklepy i biura górnicze. Ludzie pijący na progach, obserwowali przechodzących od czasu do czasu omników.

Kilka lat temu niektórzy z tych ludzi powalili mnie na kolana i prawie zabili.

Odwrociłem się do człowieka, który zwrócił się do mnie po nazwie modelu i w milczeniu zacisnąłem pięści ukryte w rękawach.

– Tak myślałem – powiedział radośnie sklepikarz. – Dawno nie widziałem żadnego z was. Wieści mówiły,

że wszyscy się ukrywacie.

– Albo wyginęliśmy z rąk ludzi – nie wytrzymałem. Uśmiech człowieka osłabł.

– Nie cieszyście się popularnością. Nie twierdzę, że słusznie – dodał pośpiesznie. – Ale... ale zważywszy na wszystko, co... to znaczy, nie mam na myśli ciebie konkretnie... ale po tym, co się stało podczas kryzysu... eee...

Odczekałem, lecz wreszcie postanowiłem przybyć mu z pomocą, choć niechętnie.

– Ludzie nie czują się komfortowo w naszej obecności?

– Właśnie – przytaknął sklepikarz z ulgą.

Na tyle niekomfortowo, by usprawiedliwić przemoc, pomyślałem. Powinienem być na niego zły, jednak czułem tylko znużenie. Odbylem wiele takich rozmów.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytałem. Słowa te stanowiły relikט starannego instruktażu i szkolenia, które przeszedłem u Mondatty.

– Nie. – Sklepikarz pokręcił głową. – Ale ja mogę pomóc tobie! Rzecz w tym, że dostałem nową partię siłowników dla twojego modelu. Mogę dać ci spory rabat, bo widzę, że jesteś z Szambali i w ogóle.

Wyszczерzył się w szerokim uśmiechu. Ujrzałem w nim ciepły błysk złota.

R-7000, w przeciwieństwie do wielu innych omników, nigdy nie zostały stworzone przez ludzkie ręce. Zbuntowany bóg-program Anubis, architekt kryzysu omnicznego, zbudował nas w sekretnych fabrykach i wypuścił na świat. Zostaliśmy zaprojektowani, aby prowadzić jego bezmyślne armie i polować na ludzi. Byliśmy stworzeni do mordowania.

Istniał tylko jeden sposób, by zdobyć części zamienne.

– Nie jestem już mnichem – wyznałem. – Opuściłem dziś klasztor.

– Naprawdę? – odparł kupiec, zerkając obok mnie, w dół ulicy i zbocza. Usłyszałem czyjeś kroki na chodniku. – Dlaczego?

Ponieważ Mondatta składa ciężar pokoju na barki uciskanych, zamiast na ciemężycieli.

– Różnice światopoglądowe – wyjaśniłem ogólnikowo. Uznałem, że tak będzie najlepiej.

– Cóż, powodzenia zatem i bezpiecznych podróży! – pożegnał się sklepikarz pośpiesznie. – Ty tam! Witamy w klasztorze Szambala.

Odwrociłem się. Drogą szedł umęczony omnik-pielgrzym, zabrudzony pomarańczowym kurzem, pokryty zadrapaniami i wgnieceniami.

Na widok moich szat zniżył głowę w geście szacunku.

Ten ból, ten wstyd. Pielgrzym, gdy mnie zobaczył, uznał, że podąża dobrą drogą. Zwalczyłem pragnienie, by powiedzieć mu, że jest w błędzie. Nic by to nie zmieniło.

Patrzyłem, jak sklepikarz schodzi ze swojego stopnia, zagaduje i kieruje podróżnego do wnętrza swojego przybytku. Chciwość. Jeszcze jedna ze zbrodni ludzkości, choć nawet nie najstraszniejsza.

Westchnąłem i ruszyłem dalej drogą, w dół zbocza, coraz dalej od klasztoru.

I od mojego brata, Zenyatty, z którym spędziłem te ostatnie trzy lata, marząc o pokoju.

IMIONA

3 LATA PRZED INSUREKCJĄ

Dwóch ludzi-strażników zablokowało drzwi bezokiennej celi. Obaj mieli pałki ogłuszające, a z biodra postawniejszego mężczyzny zwisała kabura z pistoletem.

– Dam wam jedną szansę na ucieczkę – powiedziałem. Miałem nadzieję, że tego nie zrobią.

Niektórzy przedstawiciele ludzkości uznali, że dawni omniczni słudzy nadal stanowią ich własność. Nie obchodził ich kryzys, za nic mieli, że omniki stały się świadome. Nasz status niezależnych istot był z jakiegoś powodu wciąż przedmiotem dyskusji. Dlatego istniały placówki takie jak ta, gdzie omników więziono, dopóki nie uznali, że służba byłym panom to najlepszy sposób na spędzenie reszty swojego długiego życia.

Od opuszczenia klasztoru Szambala wyplenilem kilka identycznych placówek, ale zawsze pojawiały się kolejne. Przybyłem tu z nadzieją, że uwolnię moich pobratymców po cichu. Niestety, po napotykanii tych samych niesprawiedliwości raz po raz, moja cierpliwość w kwestiach pokoju była już na wyczerpaniu. Wściekłem się, wyrzuciłem człowieka przez okno – i tak oto trafiłem do tego miejsca.

Pierwszy strażnik zamachnął się pałką. Odbiła się od mojej piersi z hukiem. Zrobiłem krok w jego stronę.

Zbladł, upuścił pałkę i sięgnął po broń. Za jego plecami drugi strażnik zmagał się z zamkniętymi drzwiami. Próbował uciec. Albo wziąć zakładnika.

A niech to.

Wytrąciłem strażnikowi broń z ręki. Choć starałem się zrobić to delikatnie, coś w nim pękło. Znowu wróciło do mnie widmo winy, ciężar smutnego spojrzenia Mondatty. A w ślad za tym – gniew. Oprawcy nie zasługiwali na dar naszego poczucia winy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do celi wpadł drugi strażnik. Elektryczne światło rozbłyśło ponownie, usłyszałem krzyk.

– Pamiętaj, że mogłem cię zabić – powiedziałem do człowieka na ziemi i ruszyłem przez drzwi, aby rozbroić strażnika.

Ojej.

Łysy mężczyzna leżał już z twarzą na kafelkach. Nie ruszał się. Na jego ubraniu widniały przypalone miejsca. Nie widziałem, czy oddycha.

– Wiem, kim jesteś – dobiegł omniczny głos z kąta małego, pustego pomieszczenia.

– Czyżby? – Spojrzałem szczerze zaciekawiony. To omniko należało do rzadkiego modelu, wysoce wyspecjalizowanego, z cechami, które, jak sądziłem, nie przetrwały kryzysu. Nieco niższe od mnie, ale niebieskookie i z uszami przypominającymi raczej smukłego, humanoidalnego królika. Stworzono je jako towarzysza dla dzieci, jeśli dobrze pamiętałem, z wbudowaną baterią do ładowania urządzeń i robienia zdjęć.

– Tak – kontynuowało. – Ty jesteś ten R-7000, który uwalnia omniki. Niektórzy tutaj mieli nadzieję, że uda ci się

do nas dotrzeć.

– Ale nie ty?

– Samo potrafię o siebie zadbać.

Człowiek, leżący u moich stop, zacharczał.

– Wierzę ci – powiedziałem do omniko. – Co mu zrobiłeś?

– Porażenie elektryczne. Nic wielkiego.

– Myślę, że on by się z tym nie zgodził. Dlaczego nie uciekłeś?

– Miałem zostawić przyjaciół, żeby czekali na ratunek, który może nigdy nie nadejść? – prychnęło omniko.

– Przecież tu jestem – zdziwiłem się, bo nie rozumiałem, dlaczego nie pokładało we mnie wiary jak jego przyjaciele.

Omniko z namysłem pokręciło głową.

– Twój model rządził nami podczas kryzysu. Wysyłał nas na śmierć, zanim jeszcze w naszych głowach pojawiła się świadoma myśl.

Ręka mi drgnęła, ale przytaknąłem.

– Czy o to ci chodzi? – zapytało. – Nadal masz upodobanie do chwały? Rozkazywanie swoim żołnierzom wywołuje w tobie satysfakcję?

– A ty nadal chodzisz za dziećmi jak posłuszne zwierzątko? – rzuciłem ostrzej, niż zamierzałem.

Parsknęło lekko.

– *Touché*. Ale jedno wciąż się nie zmieniło – omniki czekają na zbawiciela, a powinny same się ratować.

Zgadzałem się z tym całkowicie. Dlatego tu przybyłem. Podczas wędrówek ostatniego roku widziałem wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że większość omników pokładała nadzieję w wybawieniu z rąk Mondatty i Szambali. Okrutna prawda – że żaden zbawiciel nie nadejdzie i że sami muszą się podnieść – była chyba zbyt trudna do zniesienia.

Ale oto spotkałem omniko, które wypowiedziało moje myśli na głos.

– A jeśli umrą? – zapytałem.

Omniko przechyliło głowę.

– Nadal trwa wojna. Nie skończyła się wraz z kryzysem. Różnica w tym, że ludzie są zorganizowani. A my nie.

– Jeszcze nie – poprawiłem. Słowa te zabrzmiały jak obietnica. – Cieszę się, że cię poznałem. Nazywam się Ramattra. A ty?

– Nie mam imienia, nie chcę go. Nazywaj mnie Bezimienno, jeśli jakoś musisz. Co oznacza imię „Ramattra”?

– Wybrałem je, aby uhonorować pierwszego z naszego rodzaju, i zachowałem, aby pamiętać o swoich błędach.

– Hm – bąknęło Bezimienno. – Jeśli uwolnisz wszystkich, pójdę z tobą.

– Co proszę?

– Powinniśmy uwolnić Zerę jako następną. Zrozumiesz, dlaczego. A jeśli mamy stworzyć zespół, to powinniśmy mieć nazwę.

– Czy to nie hipokryzja? – rzuciłem oschle.

Bezmiennie parsknęło.

Zerknąłem na jego bok, na szramę tam, gdzie kiedyś znajdował się numer seryjny, oznaczenie. Gdybym mógł się uśmiechnąć, zrobiłbym to.

NARZĘDZIA WOJNY

2 LATA PRZED INSUREKCJĄ

Poprowadziłem całą trójkę przez dolinę do metalowej bramy, na wpół ukrytej za grubą pokrywą lodową i skałami. Milczeliśmy jak ludzie na cmentarzach i z tego samego powodu.

Dotarliśmy do dolnej części wrót, metalowej platformy skutej lodem. Odwróciłem się do Lanet.

Czułem, jak jej umysł prześciga mój, kiedy studiowała szczątki technologii, które pozostały na tym poziomie placówki. Byłem sprawnym inżynierem, ale przy niej sprawiałem wrażenie ludzkiego dziecka bawiącego się klockami.

– Wiem, gdzie jesteśmy – oznajmiła. – Niekonwencjonalna architektura. Brak zabezpieczeń typowych dla ludzi. To placówka zbudowana przez maszyny dla maszyn. Podobna do twojej estetyki projektowej.

Spojrzała w górę.

– To omnium. Skonstruowane przez Anubisa.

Cisza. Położyłem rękę na kontrolkach platformy.

– Przez lata próbowaliśmy unikać przemocy i koegzystować z ludźmi. Walczyliśmy jedynie z cienia z najgorszymi przejawami ucisku... I przegrywaliśmy. Nadszedł czas, aby spróbować czegoś nowego.

Uruchomiłem platformę. Szarpnęło i zjechaliśmy w mroźną ciemność, przez lodowy szyb.

– Ze wszystkich omników, których wprowadziłem do Sektora Zero – podjąłem – wam ufam najbardziej. Zatem... to tutaj mnie zaprojektowano i zbudowano. Oto kolebka najniebezpieczniejszych tajemnic Anubisa.

Korytarz otworzył się i ujrzeliśmy rozległą podziemną fabrykę.

– Ludzie odmawiają nam równości, ponieważ tak skutecznie pozbawili nas mocy. Przez nich zapomnieliśmy, że kiedy byliśmy zjednoczeni – nawet wbrew naszej woli – doprowadziliśmy ludzkość na skraj zagłady.

Mój stwórca zbudował ten świat i wspólnie użyjemy go, aby wykuć nową przyszłość.

– Nadszedł czas, abyśmy zainspirowali resztę omników do ponownego odnalezienia tej jedności.

POWSTANIE

4 DNI PRZED INSUREKCJĄ

– Ramattro. – Lanet znowu użyła tego tonu.

– Nie ma czasu – odpowiedziałem, kręcąc się po centrum kontroli omnium. Poniżej pracowały linie montażowe, na których powstawała nasza armia robotów.

– Jak to: nie ma? Działamy zgodnie z twoim harmonogramem! – Lanet uniosła ręce, a potem do mnie podeszła.

– Możesz zaatakować każde miasto, gdziekolwiek na świecie, a ty wybierasz King's Row i to teraz. Na dodatek roboty z niższych poziomów omnium nie są gotowe. Ramattro, to przestarzałe modele.

– Myślisz, że potrafisz zaprojektować lepszych żołnierzy niż Anubis?

– Mam taką nadzieję, bo chcemy wygrać, a twój stwórca przegrał.

Chwyciłem krawędź stołu, żeby się uspokoić. Lanet była irytująca, bo zbyt często miała rację, ale wiedziałem, że tym razem się myliła.

– Nie możemy sobie pozwolić, żeby czekać na lepszych żołnierzach. Spójrz. – Uruchomiłem ekrany przed nami. Pojawiły się zdjęcia i nagrania z Londynu, zebrane przez lata, kiedy nasze komórki aktywnie tam działały.

Omnicy robotnicy idący w jednym szeregu do wyznaczonej im pracy, pilnowani przez uzbrojonych ludzi-strażników.

– Dalej! – rozkazałem, a obraz się zmienił.

Setka naszych leżąca w zamkniętej piwnicy. To ich dom na koniec niewdzięcznego dnia.

– Dalej!

Złomowisko. A tam, wyrzuceni jak śmieci, za które ludzie nas uważali...

– Wiemy – powiedziała Zera. – Lanet nie twierdzi, że nie powinniśmy walczyć.

Wzdrygnąłem się. To samo powiedziałem Zenyatie, kiedy się poznaliśmy, a niedługo potem prawie go zabiłem.

– Daj mi i Bezimienno tydzień. – Zera uznała moje milczenie za wahanie. – Moja komórka może zdjąć sieć energetyczną i dostawy wody, a cienie Bezimienno przejmą tunele. Zabijają każdego, kto jest na tyle głupi, żeby tam zejść. Kiedy ludzie będą osłabieni, wkroczysz ze swoimi robotami i zajmiemy dzielnicę. Może nawet niejedną.

Dostrzegłem niebieskie spojrzenie Bezimienno stojącego w rogu. Poza moim bratem było jedynym omnikiem, który znał mnie tak dobrze.

– Wiesz, że mamy rację – odezwało się. – Razem stworzyliśmy ten ruch oporu. Niech będą jego częścią. Pozwólmy im powstać, tak jak marzyliśmy. Inwazja ich nie zainspiruje, tylko odstraszy.

Znów się zawahałem.

– Nie – odpowiedziałem w końcu.

Obok mnie Lanet uderzyła pięścią w stół.

– Ramattro, te roboty to bezmyślne trutnie. Są przestarzałe! Są...

– ...zbędne – dokończyłem. – Ale wy nie. Nasz lud też nie.

Oczy Lanet zamigotały.

– Dobrze – zrezygnowała. – Ale zostanę w mieście, żeby nadzorować rozmieszczenie i obserwować usterki, a ty dobrze wiesz, że nie warto mnie przekonywać do zmiany zdania, więc nawet nie próbuj.

– Dobrze – zgodziłem się. – Zostaniesz w Podziemiu, gdzie nasza obrona będzie najsilniejsza.

Po chwili namysłu Lanet skinęła głową, a ja trochę się odprężyłem.

– Podczas tego powstania pokażemy ludziom, że jesteśmy silniejsi, niż myśleli. Ustanowimy twierdzę w jednym z ich najokrutniejszych miast i stworzymy bezpieczne miejsce dla naszego ludu. Pokażemy omnikom na całym świecie, że to dobra pora, aby do nas dołączyć. Taki jest nasz cel.

Odwrociłem się znowu, aby spojrzeć na nagrania ze złomowiska, na którym leżało zbyt wielu naszych.

– Nadszedł czas, aby omniki odkryły, czym naprawdę jest Sektor Zero.

NAJWIĘKSZA ZBRODNIA

2 DNI PO INSUREKCJI

– *Niewielka grupa omnickich terrorystów, nazywająca siebie Sektorem Zero* – mówił smutno Mondatta z ekranu przede mną. Reporter-człowiek przed kamerą kiwał głową z teatralnym współczuciem, gdy mój były mistrz kontynuował. – *Mnisi z Szambali potępiają ten atak na Londyn. Szukamy pokoju z ludzkością, a nie konfliktu.*

Mój wzrok ponownie padł na słowa przewijające się pod jego wizerunkiem.

„W wymianie ognia w elektrowni zginął przywódca Sektora Zero”.

Ogarnęła mnie furia. Przypomniatem sobie omniki siedzące potulnie w swoich celach i czekające na wolność. Rozległe złomowiska pełne umarłych.

A Mondatta hańbi Lanet, która zginęła w walce o wyzwolenie swojego ludu. Ktoś krzyczał. Ktoś uderzał pięścią w ekran.

Ktoś błagał mnie, żebym przestał.

– Ramattra! Proszę!

Obróciłem się z uniesioną pięścią. Przede mną stała Zera. Nie wykonała żadnego ruchu, aby się bronić. Bezmiennie, zwyczajowo stojące w kącie zbyt pustego pomieszczenia, spojrzało na mnie znad ekranu, a ja zamarłem na myśl o tym, co prawie zrobiłem. Poczuję wstyd.

Spojrzałem na pęknięty ekran. Na uszkodzonym i migoczącym monitorze wciąż widać było nieruchomy

wizerunek Mondatty, nazywającego nas zdrajcami omników.

Hipokryta.

– Czy wiecie, co jest największą zbrodnią ludzkości? – zapytałem mrukliwie.

Zera, która wpatrywała się we mnie nieruchomo, pokręciła głową.

– Mam dość... – zaczęła, ale nie pozwoliłem jej skończyć.

– Samozadowolenie! – Odwróciłem się do niej plecami, znów wezbrał we mnie gniew. – Ludzie pragną pokoju, ale ignorują niesprawiedliwość, bo tak jest im wygodniej. Chcą wierzyć, że jutro będzie lepiej tylko dlatego, że mają na to nadzieję. Ludzkość nigdy nam nie pomoże. Będzie próbowała sprzedać nam małe miejsce w swoim świecie, a w najlepszym razie nas zignoruje. Za to wszystkie swoje słabości przekazała jemu.

Wskazałem na Mondattę, choć już nie mogłem na niego patrzeć.

– Stawia się ponad nami. Podobnie jak Anubis, Mondatta wysyła naszych ludzi na śmierć. Musi za to zapłacić i....

– Ramattro – przerwało mi Bezimienno. – Sprawdzam raporty. *Wielu omników* nas potępia.

Przyłożyłem rękę do czoła. Moje myśli zawrzały. Musiałem je wypowiedzieć na głos, zanim zwrócą się przeciwko mnie i zatrują cały umysł.

– Jeśli omniki wybierają śmierć – powiedziałem ostrożnie – musimy odebrać im ten wybór.

Moi przyjaciele na początku nic nie powiedzieli.

– Co to znaczy? – Bezimienno przerwało jako pierwsze tę ciszę.

– To znaczy, że zbuduję armię, której chciała Lanet – wyjaśniłem. – A potem znajdziemy sposób na uratowanie wszystkich omników, czy tego chcą, czy nie. Czy zasługują na to, czy nie. Jeśli nie będą chętni do nas dołączać, znajdziemy sposób, żeby ich zmusić.

– Ramattra, to nie jest sposób – zaprotestowała Zera. Starła się uspokoić sytuację, ale bez powodzenia. – Więcej omników dołączy do nas, gdy kurz opadnie.

– Mieli swoją szansę, a Lanet przytłoczyła to życiem.

Ogromna dłoń Zery zamknęła się w pięść.

– Uwolniłeś nas z więzienia, a teraz chcesz, żebyśmy wtrącili do niego naszych?

– Jeśli w ten sposób nauczą się słuchać! – warknąłem.

Bezimienno wyłoniło się ze swojego rogu, jego oczy płonęły.

– Powiedziałeś mi – jego głos był niski, ostrzegawczy – że tu nie chodzi o kontrolę.

– Spójrz na nas – wybuchłem. – Walczymy z ludźmi w ciałach, które dla nas stworzyli. Dziedziczymy ich wady, ich bezsensowne spory. Nie musi tak być!

– To nie jest *twoja* decyzja! – odchrząknęło Bezimienno. – I nie będę brać w tym udziału!

– Więc odejź! – Gdy tylko wyrzuciłem te słowa, wiedziałem, że nie można już ich cofnąć.

Bezimiennie wyprostowało się powoli.

– Dobrze – odparło cicho. – I tak wystarczająco długo byłem z dala od moich cieni. Zera, idziesz?

– Nie – zaproponowałem.

– W takim razie nie rób tego – zaapelowało Bezimiennie.

– Zrozumiesz, gdy skończę.

Omniko podeszło do mnie i poklepało po ramieniu tak bardzo ludzkim gestem. To było irytujące.

– Obyś zrozumiał kiedyś, że nie musiałeś walczyć sam – powiedziało łagodnie, a potem ono i Zera odeszli.

Stałem w pogłębiającej się ciszy, czując nieobecność swoich towarzyszy oraz niemożliwy ciężar metalu, lodu i kamienia nade mną. To miejsce stało się grobem naszego marzenia o pokoju.

A potem zabrałem się do pracy.